

SPIS TREŚCI

1. Mathias Rust Band · 9
2. Piękny chłopak · 18
3. Ojciec Hebbelille nie żyje · 38
4. Sobota, 20 stycznia 1990 r. · 49
5. Dalajlama przyjeżdża do Finnmarku · 80
6. Zmieniam się · 90
7. Słuchać z tatą w niedzielę wiadomości sportowych w radiu · 107
8. Jesteś socjalistą? · 122
9. Myślę, że wszystko się ułoży · 133
10. W Pizdę Szatana Anarchokomando · 150
11. Nie mogę być w trzech miejscach naraz · 161
12. Fałszywy · 191
13. Mówię: kamień, żwir, piach · 219
14. Sobota, 3 lutego 1990 r. · 233
15. Wstydz się, Jarle · 282
16. Może prześpimy się ze sobą ostatni raz? · 292
17. Zaskoczenie · 320
18. Pies nad Rogiem Rennesøy · 334

1. MATHIAS RUST BAND

istotą życia jest terażniejszość

Tomasz Mann

Okej – nie istnieje UE, nie istnieje Rosja, nie mówi się: *Either you are with us or you are with the terrorists*. Nie ma wojny w Zatoce ani ludobójstwa na Bałkanach, a żaden nastolatek nie umiera od LSD. E-mail to science fiction, a internet jest tylko teorią. Nikomu nie śniło się wypalanie własnych płyt kompaktowych. Nikt nie słyszał, jak Kurt Cobain śpiewa „Smells like teen spirit”, grunge wcale się nie liczy, w gazetach nie można przeczytać, że Cobain zmarł z przedawkowania. Świat nie poznał Spice Girls, Boyzone czy Destiny’s Child, Bono podczas trasy koncertowej nie prowadził rozmów na żywo z najważniejszymi przywódcami państw, a chłopcy z Blur nie kłócili się z Oasis o nowy britpop. Keanu Reeves nie pokonał siły ciężenia w *Matriksie*, nikt też nie zobaczył, jak Ernst Hugo Järegård stoi na dachu kopenhaskiego Królestwa* i – wymachując pięścią w stronę Bałtyku – wykrzykuje: „Ci cholerni Duńczycy!”. Ross, Monica, Chandler, Rachel, Phoebe i Joey nie przykuwają 20- i 30-latków do telewizorów w każdy wtorkowy wieczór. Nikt nie mówi o projektowaniu stron internetowych, nie można znaleźć pracy jako gospodarz chatroomu, nikt nie słyszał też o sms-ach. Bill Clinton nie musiał przyznać, płacząc na konferencji prasowej, że uprawiał seks ze stażystką, księżna Diana nie występowała w telewizji jako anorektyczka, poza tym nadal żyje. Żyje także Greta Garbo, żyje Astrid Lindgren, żyje Pol Pot i żyje też król Olav. Angielscy chłopcy Robert Thompson i Jon Venables nie zamordowali dwulatka Jamesa Bulgera w pociągu w Manchesterze, osiemnastoletni Eric Harris i rok młodszy Dylan Klebold nie zastrzelili

* Autor ma na myśli Szpital Królewski w Kopenhadze, miejsce akcji serialu *Królestwo* Larsa von Triera [przyp. tłum.].

dwunastu uczniów i jednego nauczyciela w Columbine High School w Jefferson County, Colorado.

Pojmujesz, że nic z tego się nie wydarzyło?

Myślisz, że to brzmi dobrze?

To się nie wydarzyło.

Po głębszym zastanowieniu – brakuje ci tej przeszłości? Czy równie dobrze mógłbyś bez niej żyć? Wyobrażasz sobie życie bez tych wszystkich zdarzeń – zarówno tych dobrych, jak i złych? Czy chciałbyś pożegnać się ze wszystkim naraz – Slobodanem Milosevicem i wrzącymi Bałkanami, Leonar-dem DiCaprio i Kate Winslet na pokładzie Titanica, Garym Barlowem, Robbie'em Williamsem i pozostałymi chłopakami z Take That?

A co z resztą? Ze wszystkim co twoje? Z tą chwilą, kiedy kilka lat temu szedłeś przez szpitalny park, zatrzymałeś się pod wielkimi dębami, by nagle pojąć: *Boże mój, zostanę pedagogiem specjalnym, nie będę aktorem*. A co z dniem, gdy wróciłeś z wakacji spędzonych u przyjaciela na Sycylii, a mama powitała cię w drzwiach słowami: *Tata i ja się rozwodzimy, chcesz mieszkać z nim czy ze mną?* Co z festiwalem Roskilde, kiedy miałeś 20 lat i wypaliłeś tyle trawy, że w uszach czułeś ciepło, a wszystkie kończyny miałeś bezwładne; późno w nocy oglądałeś Primal Scream w pomarańczowym namiocie i stwierdziłeś – przy okazji całując się z jakąś dziewczyną z Malmö, której imienia, ku własnej irytacji, nigdy potem nie mogłeś sobie przypomnieć – że Bobby Gillespie jest na większym haju niż ty?

Czy również tego możesz się pozbyć? Zmarłej przed paroma laty ukochanej babci, która gotowała marchewki, aż stawały się miękkie jak banany, i miała duży ogród ze stokrotkami, które zbierałeś jako dziecko? Możesz sobie wyobrazić życie bez tęsknoty za nią?

Możesz?

Okej – więc nie istnieje UE, nie istnieje Rosja, nie mówi się: *Either you are with us or you are with the terrorists*.

Istnieje EWG* i jesteśmy jej przeciwni, istnieje Związek Radziecki, który zmienia się z dnia na dzień, trwa pierestrojka, rozbrojenie i głośność**. Amerykańskie oddziały wysłały się przeciwko panamskiemu dyktatorowi Manuelowi Noriedze, Intifada na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Gazie zaczęła się dwa lata temu, a całkiem niedawno wojsko chińskie wjechało czołgami na plac Tian'anmen w Pekinie z gazem łzawiącym, amunicją ostrą i smugową, otworzyło ogień i zgładziło tysiące demonstrantów. Nie mamy telefonów komórkowych, ale istnieje grupka dzianych tatuśków wożących się z przenośnymi telefonami w samochodach, mało kto ma w domu komputer, a jeśli nawet to raczej nie do gier, zaczęto jednak pozbywać się maszyn do pisania z biur, a ludzie chętnie chodzą wieczorami na kursy informatyczne. Na czasie jest także zastępowanie kolekcji płyt winylowych kompaktami. Bruce Springsteen to znaczące nazwisko, dwudziestoletnia Celine Dion z Kanady wygrała konkurs Eurowizji, a R.E.M. będą wkrótce znani szerszej publiczności, nie tylko grupce fanów indie. Chodzimy w czarnych płaszczach i arafatkach, jeżeli uważamy się za zwolenników lewicy, a reszta społeczeństwa trzyma się trwałej, fryzury na czeskiego piłkarza, ciasnych Lewisów 501 i wąsów. Nie ma nikogo, kto nie widziałby *Ostatniego cesarza*, wszyscy zgodnie twierdzą, że Tom Cruise jest znakomity w *Urodzonym 4 lipca*, a *Pelle Zwycięzca* to prawdziwy tryumf kina skandynawskiego. Margaret Thatcher dziesiąty rok z rzędu jest premierem Wielkiej Brytanii, Michaił Gorbaczow przemawia do Zgromadzenia Ogólnego ONZ na temat końca zimnej wojny, jeździ dookoła świata, opowiadając o rozbrojeniu, i zostaje wybrany przez „The Times” człowiekiem dziesięciolecia. Uczucia narodowe wzbierają w małych grupach etnicznych i podczas gdy republiki bałtyckie

* EWG – Europejska Wspólnota Gospodarcza [przyp. red.].

** Głośność (ros. jawność) – reformy Michaiła Gorbaczowa, które miały na celu ujawnienie ocenzonej wcześniej informacji na temat faktów historycznych, politycznych i gospodarczych ZSRR [przyp. red.].

walczą o niepodległość, kraje komunistyczne jeden za drugim ogłaszają mniej lub bardziej bezbolesne przejście na kapitalizm i demokrację parlamentarną. Gorączka reform panuje w państwach bloku wschodniego i ani Biuro Polityczne, Stasi, Ceaușescu, Egon Krenz, Układ Warszawski, ani potężny 28-letni mur berliński nie potrafią się przed nią ochronić. Cały świat, sposób myślenia, całe krótkie stulecie wałą się w gruzy na naszych oczach, a my nie wiemy, co zrobić ze zgliszczami. Natura robi to, co chce – orkan Hugo sieje spustoszenie w Stanach Zjednoczonych i na Karaibach. Reagan wygłasza przed amerykańskim Kongresem ostatecznie przemówienie, w którym nie kryje dumy, że udało mu się przyczynić do przywrócenia amerykańskiego poczucia własnej wartości. George Bush w swojej mowie rozpoczynającej prezydenturę wyraża pragnienie, by Amerykanie stali się łagodniejszym i przyjaźniejszym narodem – apeluje o lepszą współpracę, więcej przyjaźni i lojalności oraz prawdziwszą moralność. W Norwegii Gro Harlem Brundtland* kończy 50 lat i mamy nowy rekord wysokości bezrobocia. W Szwecji 42-letni Christer Petterson zostaje aresztowany za zamordowanie premiera Olofa Palmego, skazują go na dożywocie, ale wychodzi na wolność już po kilku miesiącach. Pogoda jest dobra, zdaniem wielu nawet zbyt dobra, a to przez dziury w warstwie ozonowej, które powstały zresztą z naszej winy. Młodzi zapisują się do organizacji ekologicznych i piszą na brązowym, poplamionym papierze z odzysku. Próbują też uczyć swoich hołdujących konsumpcjonizmowi rodziców recyklingu, ponownego wykorzystywania torebek na chleb – *Mamo, masz je wyplukać, potem wysuszyć i użyć ich na nowo... Boże, jak można być aż takim egoistą?*

Myślisz, że coś z tego będzie, czy wszystko szlag trafi?

Czy ojciec przestanie w zimowe poranki zostawiać włączony silnik, bo córka mówi, że to niszczy środowisko? Czy

* Gro Harlem Brundtland – norweska polityk, pierwsza kobieta premier w Norwegii [przyj. red.].

sprzeda drugi samochód i zacznie dojeżdżać do pracy rowerem? Optymiści twierdzą, że można nas jeszcze uratować, jeśli wreszcie krytycznie na siebie spojrzymy i zrozumiemy, co jest złe – *zanieczyszczenie środowiska, AIDS, zimna wojna i komunizm* – pesymiści zaś widzą, jak szybko rośnie dziura ozonowa, i mówią, że wszystko zmierza właśnie w tym kierunku. To jak nadchodzący wierzyiciel, który bezlitośnie wzywa do zapłacenia rachunków. Przyznanie się do błędów na łożu śmierci nic nie da, może jedynie zwiększyć wyrzuty sumienia w chwili zakończenia życia...

A ja?

Ja jestem małym mężczyzną z małego miasta w małym kraju, w sumie to ledwie mężczyzną – wkrótce skończę siedemnaście i pół roku, bez ubrania o poranku ważę 69 kilogramów, mam metr siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, pryszczki wokół ust i na szyi, lekkie skrzywienie prawej stopy, a od pięciu miesięcy dziewczynę. Mieszkam w Stavanger, norweskiej stolicy ropy naftowej, małym mieście handlowym, które w ostatniej dekadzie nieźle się wzbogaciło i zapewniło rodzicom wielu spośród moich znajomych pracę w przemyśle naftowym albo w gospodarce, po dwa samochody i co najmniej jeden domek letniskowy na wsi, a często także łódkę w porcie miejskim albo na południu kraju. Nastrój w Stavanger jest równie pogmatwany jak wszędzie indziej – wizja apokalipsy towarzyszy nieustrudzonej wierze w przyszłość i beztroskiej radości inwestycji. W domu kultury w centrum miasta stoi wyrzucony z pracy urzędnik kościelny ze swoim synem, trzymając tablicę obwieszczającą czas końca – *Jezus nadejdzie wkrótce*. Pamiętam, że widziałem ją tu także rok i dwa lata temu, podczas gdy w mieście stale buduje się nowe hotele, które mają być tak eleganckie, jakby Jezus rzeczywiście miał nadejść w tym roku.

Mieszkam w Bjergsted, dzielnicy zlokalizowanej niedaleko centrum, z rozwiedzioną matką, i chodzę do drugiej klasy liceum w najstarszej szkole w mieście, Kongsgård, położonej w samym sercu miasta. Nazywam się Jarle Klepp – Klepp to

panieńskie nazwisko matki, które mówi osobom przykładającym do tego wagę, że nasza rodzina pochodzi z Jæren. Według lokalnej mitologii powinniśmy – dzięki geograficznemu i duchowemu dziedzictwu – być nieco smutni, refleksyjni i skłonni do rozmyślań. Jednak żadne z nas – ani mama, ani ja – nigdy nie mieszkało w Jæren i nie czuję, żeby te cechy w jakikolwiek sposób mnie opisywały. Jestem niecierpliwy i względnie impulsywny, po ziemi stąpam twardo, choć często także krzywo. A na pytanie, jak się mam, mógłbym chyba odpowiedzieć, że dobrze. Jestem może trochę nerwowo, dość zmęczony szkołą, stale w opozycji, ale tak: mam się dobrze. Taka jest moja odpowiedź.

Nieprawdaż?

Mam przecież dziewczynę, mam przyjaciół, plany, fascynacje i ambicje. Tak, chyba mam się dobrze? Mam przecież matkę i ojca – wprawdzie to dziwaczna historia i straszliwe przymiery, które na szczęście już się skończyło, jednak oboje muszą ze względu na mnie zachowywać pewną dyplomację we wzajemnych stosunkach. A zatem mam się całkiem nieźle w tym miejscu, gdzie dorastam mniej lub bardziej świadomie, w czasach, które mój nauczyciel historii zwykł na każdej lekcji nazywać „wyjątkowymi”, jako że coraz częściej uczy nas historii najnowszej, najzwyczajniej w świecie omijając tematy z programu, pełen podziwu dla życia w obecnych czasach, *właśnie teraz*, kiedy aż wrze na Bliskim Wschodzie, kiedy Gorbi jeździ po całym świecie ze swoim znamieniem na czole, naprawiając demokrację, i kiedy już za chwilę – jak twierdzi historyk uwielbiający przepowiadać przyszłość – coś wydarzy się na Bałkanach.

A ja, Jarle Klepp, chyba mam się dobrze? Czyż nie? Czy czegoś mi brakuje?

Przyszłości. Jak zawsze. Tego, co się nie stało. Przypadków, które wypełniają życie, mijających dni, nadchodzących wyników tego, co już od dawna jest zaplanowane – wszystkiego, czym w ten lub inny sposób rządzi moje pożądanie. Tego mi brakuje, tego nie znam – przyszłości. Muszę ją teraz wymazać,

spróbować cofnąć się znów do tamtych czasów – jest zima, nastał styczeń 1990 roku i właśnie zacząłem drugi semestr w Kongsgård. Mam dziewczynę, jestem dość arogancki, wydaje mi się, że pozjadałem wszystkie rozumy, i uważam, że ponad 80% moich rówieśników to niedorozwinięci, konserwatywni, niedoinformowani debile. Jeżeli czemuś miałbym być przeciwny, to jest to z pewnością EWG, nie lubię też chrześcijan, a zwłaszcza dzieciaków z Ten Sing*, nienawidzę komercjalizmu, braków w wiedzy o ochronie środowiska, popularnej muzyki i kapitalizmu.

Lubię ludzi robiących to, czego nie robią inni. Jeśli ktoś się na coś zgadza, możesz być pewny, że Jarle Klepp się temu sprzeciwi. Jeśli zbyt wiele osób lubi nowy album, np. R.E.M. czy The Cure, Jarle Klepp na pewno stwierdzi, że kapela kiedyś grała lepiej, *nie, wypalili się*. Tak, lubię tych, co idą pod prąd powszechnej opinii. Tych, którzy robią to, czego nie robią inni.

Taki Mathias Rust, czy ktoś go pamięta?

Czy ktoś pamięta tego dziesiętnastolatka, który wylądował małym samolotem Cessna tuż koło Kremla i Placu Czerwonego w Moskwie? Rust leciał z Hamburga pożyczoną maszyną, miał międzylądowania w Norwegii i Helsinkach, nim zmienił kurs na Związek Radziecki. Niewiarygodne, jak udało mu się przedostać na terytorium radzieckie i wylądować w samym sercu komunizmu. Pamiętam, że widziałem go w telewizji w roku 1987, miałem wtedy piętnaście lat i pomyślałem, że Rust jest genialny. Gdy parę miesięcy później postawiono go przed radzieckim sądem, wyglądał jak zwyczajny młody człowiek – nosił okulary, niebieską kamizelkę oraz krawat i twierdził, że jego przelot i lądowanie w centrum Moskwy było działaniem na rzecz pokoju, mającym poruszyć światową opinię publiczną. Wyciąłem sobie jego zdjęcie i zawiesiłem je na tablicy korkowej w swoim pokoju.

* Ten-Sing – pochodzący z Norwegii międzynarodowy, chrześcijański ruch młodzieżowy, skupiający przede wszystkim grupy muzyczne [przyp. tłum.].

– Kto to jest? – spytała mama.

– To Mathias Rust.

Myślałem, że zakpił sobie z nich wszystkich, myślałem, że jest genialny. Został skazany na cztery lata w radzieckim obozie pracy. Ale był przecież dobry, nie? W konsekwencji tego przelotu zdymisjonowano radzieckiego ministra obrony i dowódcę obrony przeciwlotniczej – nieźle, co? Rust stał się dla mnie ikoną, podniosłem go do rangi ideologa i ustawiłem w jednym szeregu z innymi opozycjonistami z mojej galerii bohaterów: Che, Bakuninem, Marksem, Arafatem. Tak, dokładnie takich ludzi lubię.

Mówię to właśnie mojemu najlepszemu kumpłowi. Jest koniec lat osiemdziesiątych, a my popijamy piwo w lasku Ullandhaug w piątek po szkole. Mamy dopiero po szesnaście lat i jesteśmy w pierwszej klasie liceum.

– Kurde, Helge – mówię. – Jeśli kiedyś założymy zespół, to nazwiemy go Mathias Rust Band, co?

– Nie założymy żadnego pieprzonego zespołu – odpowiada Helge. – Przecież nie umiemy grać.

– No nie – mówię. – No ale jednak, co? Mathias Rust Band?

– Raczej W Pizdę Szatana Anarchokomando – stwierdza Helge.

– Kurde, a może jednak?

– Co?

– Zrobić coś takiego jak on? Tak po prostu przelecieć i wpaść w sam środek ZSRR.

– Ach – mówi Helge, otwierając nowe piwo. – To tylko drobnomieszcząskie pieprzenie, równie dobrze mógł wpierdolić się tą Cessną w Biały Dom i zostawić komuchów w spokoju.

Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego jak Mathias Rust, ale cały czas chodziliśmy z Helgem na wszelkie możliwe marsze protestacyjne, a ja kupiłem sobie gitarę i po prostu żyłem. W Stavanger trwała zima, szkoła właśnie zaczęła się po przerwie świątecznej i dookoła mnie istniał prawdziwy świat, prawdziwe

wydarzenia – ceny ropy wróciły do dawnego poziomu, zmarł Samuel Beckett, bezrobocie rosło, w Rumunii stracono Ceaușescu, Vaclava Havla wybrano na prezydenta Czechosłowacji, NRD za chwilę miało przejść do historii po otwarciu muru 9 listopada i wielu ludzi twierdziło, że właśnie teraz wszystko dzieje się w zawrotnym tempie, tak szybko, że jest już tego zbyt wiele, tak szybko, że musimy kupić jeszcze jeden samochód, aby nie zostać w tyle, a inni, jak mój nauczyciel historii, kochali te czasy, w których przyszło im żyć.

To, co się nie wydarzyło, było przyszłością.

Jest rok 1990 – *pojmujesz to?*

Nie mamy XXI wieku, jest wczesny ranek, piątek 19 stycznia 1990 roku, a ja jadę w deszczu na rowerze do szkoły.

Za parę sekund moje życie wywróci się do góry nogami.

2. PIĘKNY CHŁOPAK

*kryję się w wietrze
który całuje twe usta*
Bob Hund

Czy to takie niezwykle? Czuć, jakby od szczęścia dzielił cię jeden pocałunek?

Usta Yngvego. Miał pełne wargi, mocne, wcale nie kobiece, subtelnie wydęte, tworzące lekko dziewczęcy łuk. Kąciki ust delikatnie opadały, co na pierwszy rzut oka sprawiało smutne wrażenie. Lecz kiedy Yngve się uśmiechał, ten mały szczegół zmieniał całą jego twarz. Kąciki opadały jeszcze bardziej, by przeistoczyć się w uśmiech zaciśniętych warg.

Jego usta miały kolor ciepłej czerwieni na tle bladej, ładnej i nieco wrażliwej skóry. Nad jasnymi zuchwami policzki pały rumieńcem, który jednak nie był tak intensywny jak czerwień ust – zdawał się raczej jej słabą imitacją. Policzki Yngvego zazdrościły jego ustom, chciały się do nich bezskutecznie upodobnić, lecz stać je było jedynie na tę mizerną kopię, chroniczny rumieniec.

Ze wszystkich rzeczy, których nie zrobiłem, chociaż miałem okazję, ta jedna trapiła mnie najbardziej. Usta Yngvego. Dlaczego ich nie pocałowałem? W moim własnym świecie ta czynność zdawała się oddzielać moje życie od szczęścia.

Nie, nigdy nie zobaczyłem Pixies na żywo. Nigdy nie zapytałem dziadka o jego dzieciństwo, nim było za późno. A jednak nic nie może równać się z tymi ustami, które powinienem był pocałować.

Próbuję sobie przypomnieć tamtego Jarlego Kleppa, ucznia drugiej klasy liceum Kongsgård, właśnie teraz, w piątek, w styczniu 1990 roku, kiedy jest panem świata, który zaraz zawali mu się na głowę. Za chwilę przydarzy mu się parę zwariowanych, gorączkowych tygodni. Teraz zaś jedzie na rowerze z Bjergsted do szkoły, żeby zdążyć na pierwszą lekcję dwadzieścia pięć po

ósmej. Próbuję go sobie wyobrazić i pytam: *Jarle, dlaczego tego nie zrobiłeś? Jeden pocałunek?* Mam wrażenie, jakbym stał tuż koło niego, wykonywał te same ruchy, te same mniej lub bardziej kontrolowane czynności, w napięciu towarzyszę mu, prosząc, by uczynił właśnie to, czego pragnie – pocałował Yngvego.

Czyżby Yngve ciągle się uśmiechał? Tak, zdawało się, jakby uśmiech na stałe był przytwierdzony do jego twarzy. Wcale nie zarozumiał, bezczelny czy sztuczny, a raczej odrobinę niepewny, bez rozchylania ust.

Znałem wielu piękniejszych drugoklasistów. Dziewczyny bez wątpienia wybrałyby Ingara z 2D. Nie można było mu się oprzeć. Już wtedy, kiedy większość z nas nadal walczyła z niezdatnym brakiem pewności i proporcji późnego okresu dojrzewania, Ingar był jak wykuty z granitu. Odpowiednio zaokrąglone rysy, wystające kości policzkowe, wyraźna szczeka. Postawę miał równie dobrą jak wygląd. Zarzucanie tornistra na ramię było w jego wykonaniu najnaturalniejszą w świecie czynnością. Kiedy siadał na rowerze, miało się wrażenie, jakby siodelko czekało na niego cały dzień. Wszystko, co Ingar robił i czego dotykał, dostosowywało się do niego, stając się równie pewne siebie jak on. Męczyłem się z Ingarem od podstawówki, pochodził z tego samego przedmieścia co ja i tak było już od pierwszej klasy: dziewczyny kłębiły się wokół niego jak wróble wokół okruchów chleba. Skąd się to, kurczę, brało? Może wydzielał z siebie coś, czemu dziewczyny nie potrafiły się oprzeć? Kiedy na imprezie bożonarodzeniowej w 1983 zagrał na flecie prostym, dziewczyny uznały flet za najwspanialszy instrument. Kiedy biegł przez boisko, wzdłuż linii bocznej zawsze stały grupki chichoczących i robiących balony z gumy dziewczyn. Gdy Ingar pod koniec gimnazjum zaczął grać na gitarze, dziewczyny stały się jego strunami. Powiedział, że nie pójdzie do liceum, że może będzie *pracować*, a może *podróżować*, ale nie – znów musiał się tu znaleźć. *Ingar, Ingar*. Oczywiście wylądowaliśmy w tym samym ogólniaku, gdzie co dzień doświadczałem powtórek z dzieciństwa: *o, Ingar, o, Ingar!* Pieprzony Ingar!

Był jak gąbka chłonna współczesność, jakby współczesność w nim zamieszkała. W latach osiemdziesiątych on pierwszy odkrył breakdance, a teraz czekało nas nowe dziesięciolecie, lata dziewięćdziesiąte, które oczywiście znów należały do *niego*. Ingar zaliczał się do tych przewidujących postaci, które można by posądzać o to, że widziały przyszłość. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że wszystko, co robią, wydaje się właściwe? Miało się wrażenie, jakby Ingar już przebywał w przyszłości, wiedział, jak należy wyglądać w latach dziewięćdziesiątych, jeszcze zanim dekada nabrała swojego charakteru, że plerezę należy skrócić, a pastelowo zieloną jedwabną koszulę oddać Armii Zbawienia.

Yngve był całkiem inny. Jego piękno było nieświadome swego istnienia. Nie przypominało w niczym wyrazistej, proroczej, uwodzicielskiej manieri Ingara, nie imponowało ani nie frapowało, ale nie było też niezdarne czy słodkie, jak u Owego, drugiego spośród zwycięzców tego rocznika. Ove, mały chłopak z Flekkefjord, wyrastający ledwie metr i sześćdziesiąt pięć centymetrów nad powierzchnię ziemi, przyciągał dziewczyny swą całkowitą bezradnością. Wygrywał tym, że był niezdarny i dziwny, a w drugiej klasie nauczył się to wykorzystywać i odtąd na zawsze zmienił słabość w swój największy atut. Zauważywszy reakcje dziewcząt na swoją osobę, stał się profesjonalnym nerdem*. Ove zaczął nosić okulary w grubych oprawkach, jakie widział na amerykańskich filmach o nastolatkach, zawsze w obecności innych potykał się na schodach prowadzących do klasy, zmienił gust muzyczny z lekkich kapel na nieco dziwaczne, alternatywne brzmienia indie – takie zespoły, jak *The Sundays* czy *House of Love*. To w zupełności wystarczało mu w roku 1990 – wybrane dziewczyny lgnęły do niego jak pszczoły do miodu, zachwycone tajemniczością odosobnienia o świadomie niezdatnym zabarwieniu.

* Nerd – człowiek nieprzystosowany do życia w społeczeństwie, izolujący się od innych, niedbający o wygląd, zainteresowany wyłącznie fantastyką, grami komputerowymi itp. [przyj. red.].

Yngve był całkiem inny. Nie był niezdarny. Uśmiechał się, usta miał zaciśnięte, z łukiem ledwie wydętym nad dolną wargą, i był niepewny siebie. Wystraszony. Nie zauważało się tego od razu. Ale po pewnym czasie można było zdać sobie sprawę, że w środku jego prostoty i piękna tkwił strach. To dlatego się uśmiechał. Może dałoby się powiedzieć, że miał w sobie coś niepokojącego? Nie straszego, lecz niepokojącego – trzeba było na niego uważać, w oczekiwaniu, że coś się wydarzy. Yngve nie był zabawny. **Yngve nie był twardy. Yngve był piękny i niepokojący.**

Wtedy o tym nie myślałem, ale teraz uderza mnie jego zadziwiający brak wyrachowania. Błada karnacja, czerwone policzki, ciepłe usta, wąski nos, błękitne, ufne oczy. Prosta, trochę krzykliwa grzywka z niewielkim przedziałkiem z boku blond czupryny. Nie było w nim fałszu ani próżności, niemal jak u małych dzieci czy ludzi niedorozwiniętych. Ale **Yngve nie był małym dzieckiem**, nie był też w żaden sposób upośledzony. Był zwykłym uczniem, chodzącym razem ze mną do klasy o profilu społecznym. Tak było w drugiej klasie, w semestrze letnim 1990 roku.

Przez pierwsze półrocze, semestr zimowy 1989, jeszcze go z nami nie było. Dołączył po świętach do klasy c, podczas gdy ja chodziłem do b. **Yngve przeprowadził się do naszego miasta z Haugesund**, mówił ładnym zachodnim dialektem o wyraźnych samogłoskach. Był od nas o rok starszy, urodził się w 1971, a mimo to chodził do klasy razem z nami. Mówiono, że jego rodzina przez rok podróżowała i dlatego zaczął trochę później. **Yngve był pierwszym haugesundczykiem, jakiego poznałem.** Jego ojciec, jak wielu innych w tamtym okresie, dostał pracę w branży naftowej w Stavanger i rodzina przeprowadziła się trochę dalej na południe – z mniejszego naftowego miasta do większego.

Co mógł wiedzieć Yngve o uczuciach, jakie wywoła w innym człowieku? I co ja mogłem wiedzieć – pedałując wzdłuż Vågen w drodze na pierwszą lekcję – o tym, co się wydarzy?

Niespodzianki kryją się przed nami i to właśnie dlatego zaskakują. Inne wydarzenia, o mniejszej sile, nie przestają się zdradzać, niczym niecierpliwe gaduły zaczynają szeptać o tym, co się stanie, miasto aż huczy od plotek o ich nadejściu, a ludzie drżą w oczekiwaniu. W przeciwieństwie do niespodzianek, które często rodzą dobre historie i którym zawsze towarzyszy nutka nostalgii, ponieważ opowiada się o nich tak samo czule jak o dawnych wspomnieniach, owe niecierpliwe zdarzenia często wyczerpują się, jeszcze zanim nadejdą. Z niespodziankami tak nie jest. Chociaż jak wszystko inne stosują się do mitologicznych wzorów, są wielkie, brutalne i szokujące. *Jak to się im udaje?* Być tak dumnym, potężnym, często niebezpiecznym, a kiedy indziej wspaniałym, i ani przez chwilę się nie zdradzić, aż wreszcie pewnego dnia uderzyć właśnie siebie?

Był piątek, 19 stycznia 1990 roku. Zegarek nad zaciśniętą na kierownicy pięścią, poniżej mankietu swetra i pod mającą chronić przed silnym wiatrem puchową kurtką wskazywał prawie wpół do dziewiątej.

Stare, pomalowane na biało, drewniane budynki szkoły Kongsgård znajdują się w samym centrum Stavanger, tuż koło katedry i stawu Breiavannet. Nie ma na ziemi miejsca piękniejszego niż ów trójkąt nauki, chrześcijaństwa i wody – jak mawiają miejscy patrioci. Rzeczywiście ładnie tu – jak mawiają turyści, którym zawsze należy bardziej wierzyć. Niektórzy z nich twierdzą, że centrum Stavanger przywodzi im na myśl islandzki Reykjavik – Przez ten staw, kościół i góry. Między tymi miastami istnieje jakieś podobieństwo, gdyż oba mają około 110 000 mieszkańców i leżą nad morzem.

Budynek główny Kongsgård pochodzi z XII wieku. Na starym fundamencie wznosi się silna, biała konstrukcja z drewna. Kiedy chodziłem do szkoły, czasem męczyło mnie uczucie, że jestem tylko małym człowieczkiem w strumieniu wydarzeń. Uczucie to rzadko pojawiało się, gdy szedłem ulicą koło szkoły, gdzie nic wyraźnie nie łączyło mnie z przeszłością. Serwetki z bistro Oscars w koszu na śmieci nie opowiadają dawnych hi-